Nazwisko JANTA-POLCZYŃSKI

Imiona TOMASZ **Pseudonim** .....

Z domu .....

Data urodzenia 1910 **Miejscowość, kraj** POZNAŃ

Data śmierci 2000 **Miejscowość, kraj** .....

Lat życia .....

Adres cmentarza .....

.....

Źródła: T.P. 3.3.01 wspom.

.....

.....

Archiwum Osobowe Emigracji im. B. Jeżewskiego Biblioteka Polska POSK w Londynie.

T.P. 3 III 2001

Tomasz Janta-Połczyński

1910-2000

Wojciech Rostafiński

Tomasz Janta-Połczyński był dla nas, jego cioteczne-go rodzeństwa, kuzynem specjalnym. Imponował i był serdeczny, a był światowym człowiekiem, swobodnie władającym czterema językami, obytym w zachodniej Europie, tak sympatycznym jak i dostępnym. Jego starszy brat Aleksander, znany już przed wojną dziennikarz i autor (korespondencja z wojny w Abisynii, reportaże z Mandżuko), był też w naszych oczach człowiekiem z zaczarowanych dalekich krajów, ale... nie można było nawiązać z nim kontaktu – mało dostępny, nas młodszych kuzynów nie bardzo tolerował, żył w swoim świecie pióra.

Tomasz urodził się w Poznaniu w 1910 roku. Ojciec był lekarzem, z wielkopolskiego ziemiaństwa (Komorza Mała, koło Tucholi), stryj, w dwudziestoleciu był ministrem rolnictwa RP. Matka, Helena, *die shöne Helena*, jak za Homerem mawiał mój ojciec po niemiecku, była z domu Jurasz. Rzeczywiście ciotka (starsza siostra mojej matki) była pięknością, nawet jeszcze w swych późnych latach i do końca zachowała pieczołowicie kultywowany styl pani w pałacu na Komorzy. Przy tym była osobą nad wyraz serdeczną, wyrozumiałą i, Boże mój, nie taką jak wszyscy – oczywiście mówię o wszystkich spoza rodziny Juraszów. Bo Jurasze to był klan sam w sobie uwodzicielski. Oto pokrótce: nasz dziadek Antoni Jurasz (1848-1923), z Wielkopolski, był doktorem medycyny i profesorem laryngologii w Heidelbergu. Ożenił się z panną Karoliną Gaspey, córką wykładowcy języka angielskiego, Brytyjczyka. Mieli ośmioro dzieci, wszyscy rzecz jasna w szkołach niemieckich, ale w domu byli biegli w języku polskim i to do tego stopnia, że Karolina, od sprowadzonych z poznańskiego opiekunek do dzieci, też z czasem władała językiem polskim. Dziadek Jurasz nie dał sobie Niemcom dmuchać w kaszę – Poznaniak. Naturalnie mowy nie było, by któreś z dzieci choćby zaręczyło się z Niemcami. Po roku 1906 miał Niemiec dość, przyjął katedrę medycyny we Lwowie, by wkrótce zostać rektorem UJK. Taki był dziadek Jurasz i jego anielskiej cierpliwości, stanowcza w poczuciu obowiązków, żona, babcia Karolina. Jak wspomniałem mieli ośmioro dzieci. Barwna i niezrównana była ta ósemka Juraszów. Odznaczali się czarem osobistym i wprost żelaznym zdrowiem. Wszyscy byli postawni, przystojni i biegle władający co najmniej trzema językami – ludzie z ładem w życiu. Tomasz i jego brat Aleksander, zwany Olo, dużo starsi niż ja i inni z ciotecznego rodzeństwa spoza Poznania, lepiej znali i odczuwali tego upartego Polaka, człowieka wielkiego serca i znakomitego, zasłużonego lekarza.

Z ośmiorga Juraszów było nas urodzonych od 1908 roku do 1925, czternaścioro ciotecznego rodzeństwa – byłem jednym z najmłodszych. Z podziwem patrzyłem na starszych. Z czternaściorga kuzynów sześcioro z Juraszów było dużo starszych od reszty – pamiętam, że patrzyliśmy w nich jak w tęczę. Za wyjątkiem Basi Juraszówny, która poległa w Powstaniu Warszawskim, i męża Krystyny, siostry Ola i Tomasza, Mikołaja Rodziewicza, dyplomowanego majora WP, który podzielił los zamordowanych w Katyniu, wszyscy przeżyliśmy wojnę.

Przed maturą, młody Tomasz, z zamożnej rodziny, z fantazją i z żyłką do hazardu przegrał w pokera całkiem znaczne sumy. Ojciec spłacił dług, ale Tomasz miał go oddać. To też decyzją ojca i gwoli nauki na przyszłość, po maturze, w 1928 roku, został wysłany do kopalni węgla na Śląsku, na 9 miesięcy. Dług spłacił i raczej nigdy więcej na serio w poker nie grał – wolał brydża. Z końcem następnego roku odbył swoją powinność wojskową w podchorążówce artylerii lekkiej, z tym, że później, gdy unowocześniono wojsko, przeszedł do artylerii przeciwlotniczej. Zawsze chciał służyć w lotnictwie, ale skoro był krótkowidzem, nie pozwolono mu – „odpłacił się" służąc w artylerii plot. Skompensował swe pragnienia potem, w Belgii, gdzie zdobył licencję pilota i należał do klubu lotniczego. Często latał awionetką, nawet, któregoś roku, bodaj w 1949, zabrał mnie ze sobą i z powietrza oglądaliśmy mecz Pucharu Davisa.

W 1930 roku, na studia, rodzice wysłali go do Belgii, do słynnego *Institut Superieur de Commerce* w Antwerpii. Potem postanowił uzyskać też brytyjski dyplom z ekonomii, i tu pokazał co umie. Zanim przyjęto go na *University of London*, zażądano od niego zdania

dokończenie obok

angielskiej matury. Zdał i w 1936 roku ukończył, jako ekstern, *London School of Economics and Political Science*, specjalizując się w polityce monetarnej i bankowości. Równocześnie przez lata studiów pracował (1934-1936) jako sekretarz radcy finansowego polskiej ambasady w Londynie. Była to, jak się okazało, znakomita praktyka i właściwe kontakty, a w życiu każdego z nas, jak zawsze twierdził Tomasz, liczą się kontakty.

W 1936 roku wrócił do kraju na stanowisko w Ministerstwie Skarbu RP. Z racji zagranicznego doświadczenia został przydzielony do wydziału zagranicznych transakcji i brał udział w szeregu układów z zachodnimi partnerami polskiej gospodarki. W przeddzień wojny, w czerwcu 1939 roku, 29-letni specjalista od bankowości i międzynarodowych finansów został mianowany komisarzem rządowym w Powszechnym Banku Kredytowym. Pozycja niemała, ale dramat niemieckiej i potem sowieckiej napaści na Polskę 1 września tego roku przekreślił te plany. Tomasz został zmobilizowany i służył w bateriach dział przeciwlotniczych na Pradze, we wschodniej Warszawie. Z kapitulacją stolicy, zgodnie z układem, jako oficer garnizonu warszawskiego, przeszedł do niewoli. Nie na długo. Skoro Niemcy oddzielili żołnierzy od ich oficerów, nie miał moralnego obowiązku pozostania z nimi, ale miał obowiązek ucieczki. I tak w Radomiu wyskoczył z towarowego wagonu niemieckiego transportu i wkrótce dotarł z powrotem do Warszawy. Mieszkanie jego ocalało i jak nikt inny z uporem poszedł szukać swego gramofonu na pozycjach artylerzy-

był Tomasz, życie pod okupacją nie miało po prostu sensu. Toteż, jak pamiętam, pewnego grudniowego dnia zjawił się u nas i moja matka wszyła mu w fałdy spodni dwie złote monety, które przyniósł. Widzieliśmy też wtedy piękną Irkę, á la Marylin Monroe, jego towarzyszkę, ale najwyraźniej tylko w naszej wyobraźni była Tomasza wybraną. Pieszo, w tę ostrą zimę 1939 roku, przez Słowację i Węgry dotarł do Rumunii i dołączył do rządu polskiego w Angers we Francji i potem w Anglii, gdy polskie władze ewakuowały się



Tomasz Janta-Połczyński

tarzem ministerstwa finansów, handlu i przemysłu. W Londynie w ministerstwie pozostał do końca wojny. Z ramienia ministra Henryka Strasburgera (jeszcze przedwojennego męża stanu) zorganizował Polską Pocztę (na użytek polskich jednostek marynarki wojennej i innych służb), która wydała serie, cennych dziś znaczków, a na szaro-czarnym znaczku artysta grafik uwiecznił właśnie Tomasza. W 1942 roku, towarzyszył ministrowi w transporcie do Kanady skarbów wawelskich i brał udział w

dział, pieniądze dają swobodę działania. To było dla niego bardzo ważne, bo życie uważał za wielką grę, którą chciał grać po swojemu. Życie było dla niego wyzwaniem. To polskie słowo jest nieco patetyczne, lepiej oddaje sytuację angielskie *challange*. Wszędzie i zawsze szukał okazji, by wykazać sobie samemu, że potrafi. Poza biznesem szukał na to sposobności w sportach (latanie, tenis, golf, narty) i w grach. Grał namiętnie w brydża – na wysokie stawki, stawiał sobie trudne zadania. Tak jest, nawet w grze.

***

Teraz czas napisać o rodzinie, którą założył. W 1945 roku, w Brukseli poznał Marię Tomaszewską, powszechnie znaną jako Isia. Wzięli ślub w sierpniu następnego roku, na którym miałem przyjemność być świadkiem. Isia była z szeregów NSZ, w czasie Powstania podporządkowanych dowódcy Armii Krajowej. Przeżyła walki na Starym Mieście, przejście kanałami do Śródmieścia i potem niemiecką niewolę. Wraz z koleżankami uwolniona z niewoli przez oddziały kanadyjskie, z pomocą oficera PSZ dostała się jako jedna z pierwszych, z najbliższą koleżanką, do Belgii. Przystojna, pogodna, wesoła i elegancka zwróciła na siebie uwagę, starszego od niej o 14 lat Tomasza, który był, co tu mówić, najbardziej pożądaną partią na emigracji. Tak te dwa mocne, niezależne charaktery spotkały się z woli wielkiej gry jaką jest życie. Pasowali do siebie znakomicie.

Wkrótce mieli dwóch synów: Marcina i Artura. Obaj chłopcy dostali staranne wykształcenie –

– ubóstwiał powiedzonka i żarty. Na przykład, gdy raz zapytałem go jak się czuje, usłyszałem, że po japońsku. No, *jako tako, tako jako*. Albo, gdy była mowa o rzeczach, które go nie interesowały, niezmiennie mówił, że jest w tym *ministre des affaires* mu *etrangeres* – zmienione znaczenie francuskiego tytułu ministra spraw zagranicznych. Jego dowcipy były czasem kłopotliwe. Byliśmy u Tomaszów na jakimś specjalnym obiedzie, a Tomasz wskazuje na butelkę wina i mówi, że to oryginalne Chateau, bo tak widniało na nalepce. Tak jest, oryginalne! I tak było, tylko było to coś zupełnie zwyczajnego, a Tomasz wyśmiewał się w ten sposób ze snobizmu wielu osób i wprowadzał nas w pewne zakłopotanie, bo skoro Tomasz tak mówi...

W pamiętnikach pisanych lata temu, w rozdziale „Spotkania i szkoła życia" poświęcam cały akapit Tomaszowi. Cytuję: przed 1939 rokiem Tomasz mówił biegle trzema językami, nie licząc polskiego, po niemiecku, po francusku i po angielsku, w Anglii jeździł na motocyklu, był zawsze wytwornie ubrany i nawet nosił smoking. Przed wojną, w Warszawie mnie uczniakowi, różnica lat była 11, gdy do niego zaszedłem na Noakowskiego, często otwierał szafę i pozwalał sobie wybrać jeden z jego wspaniałych krawatów. Takie rzeczy się pamięta. Tomasz raz mi powiedział, że ma się w życiu trzy, może cztery razy szansę. Gdy się ich nie chwyci – zostaje się w szarym tłumie. Zapamiętałem co powiedział i potem studiowałem sytuacje jak się rozwijały. Tomasz miał rację – trzy razy potem spostrzegłem się na czas i skorzystałem



Tomasz Janta-Połczyński

lotniczych na Pradze, we wschodniej Warszawie. Z kapitulacją stolicy, zgodnie z układem, jako oficer garnizonu warszawskiego, przeszedł do niewoli. Nie na długo. Skoro Niemcy oddzielili żołnierzy od ich oficerów, nie miał moralnego obowiązku pozostania z nimi, ale miał obowiązek ucieczki. I tak w Radomiu wyskoczył z towarowego wagonu niemieckiego transportu i wkrótce dotarł z powrotem do Warszawy. Mieszkanie jego ocalało i jak nikt inny z uporem poszedł szukać swego gramofonu na pozycjach artyleryjskich na Pradze. Znalazł przynajmniej niektóre płyty. Dla zachodniego człowieka i bankowca jakim ko w naszej wyobraźni była Tomasza wybraną. Pieszo, w tę ostrą zimę 1939 roku, przez Słowację i Węgry dotarł do Rumunii i dołączył do rządu polskiego w Angers we Francji i potem w Anglii, gdy polskie władze ewakuowały się pośpiesznie z poddającej się Niemcom Francji. Znany w kołach ministerstwa skarbu został sekretarzem finansowym i handlowym attaché w na nowo otwartym polskim poselstwie w wolnej już Belgii. Z dniem uznania przez Aliantów rządu warszawskiego (lipiec 1945) poselstwo przejęli komuniści. Wtedy, jak tysiące innych, Tomasz pozostał w Belgii jako polityczny uchodźca i po dziesięciu latach dostał belgijskie obywatelstwo.

W 1945 roku rozpoczął się więc nowy rozdział w jego życiu – niezależnego *businessman'a*. Poza intratnymi interesami swej firmy (Janimex – czyli *Janta-import-export*) został jednym z dyrektorów, na Europę, amerykańskiej firmy Plibrico specjalizującej się w produkcji przemysłowych materiałów żaroodpornych. Otworzył produkcję tych materiałów w Zachodnich Niemczech i w Holandii i zdobył dla tej firmy znaczną część europejskiego rynku. Znając z młodych lat niemiecki, teraz dla ułatwienia rozmów z Holendrami, nauczył się ich języka. W ciągu następnych szeregu lat został zamożnym człowiekiem. Był zadowolony, bo jak mi kiedyś powiecennych dziś znaczków, a na szaro-czarnym znaczku artysta grafik uwiecznił właśnie Tomasza. W 1942 roku, towarzyszył ministrowi w transporcie do Kanady skarbów wawelskich i brał udział w układach w Ottawie. Nie zapominajmy, że mało kto z polskich władz i rządu w Anglii znał język angielski tak biegle, jak Tomasz. Był cennym ekspertem.

Tomasz miał błyskotliwy umysł oddziały kanadyjskie, z pomocą oficera PSZ dostała się jako jedna z pierwszych, z najbliższą koleżanką, do Belgii. Przystojna, pogodna, wesoła i elegancka zwróciła na siebie uwagę, starszego od niej o 14 lat Tomasza, który był, co tu mówić, najbardziej pożądaną partią na emigracji. Tak te dwa mocne, niezależne charaktery spotkały się z woli wielkiej gry jaką jest życie. Pasowali do siebie znakomicie.

Wkrótce mieli dwóch synów: Marcina i Artura. Obaj chłopcy dostali staranne wykształcenie – wysyłani byli do przyjaciół w Anglii, do rodziny w Polsce i we Francji; jak ojciec władają dziś bezbłędnie czterema językami. Co roku nieomal, gdy chłopcy byli w szkołach, we czworo jeździli na narty do Szwajcarii albo do Austrii. Dziś starszy, Marcin, z doktoratem z filozofii, wykłada w Toronto informatykę. Artur po studiach ekonomicznych w Belgii zdobył MBA w Harvardzie i jest, jak ojciec, zamożnym businessmanem z biurem w Belgii i w Warszawie. Miarą jego sukcesu niech będzie to, że poza piękną willą w Brukseli jego rodzina ma cztery samochody i konia.

Przez lata Tomasz należał, jako jedyny Polak chyba, do ekskluzywnego stowarzyszenia belgijskich sfer arystokratycznych, finansjery i dyplomatów, do *Club Gaulois*. Potem, gdy młodzi byli już na studiach, w ramach wycieczek organizowanych przez ten tak specjalny klub, we dwoje zwiedzali kraje Morza Śródziemnego. To był *high life*. To też do dziś wspomina Marcin, że w domu rodziców przestrzegana była przy stole rezerwa angielska, ład niemiecki, francuski szyk, polskie uszanowanie dla wszystkich, belgijski zdrowy rozsądek i holenderski umiar.

king. Przed wojną, w Warszawie mnie uczniakowi, różnica lat była 11, gdy do niego zaszedłem na Noakowskiego, często otwierał szafę i pozwalał sobie wybrać jeden z jego wspaniałych krawatów. Takie rzeczy się pamięta. Tomasz raz mi powiedział, że ma się w życiu trzy, może cztery razy szansę. Gdy się ich nie chwyci – zostaje się w szarym tłumie. Zapamiętałem co powiedział i potem studiowałem sytuacje jak się rozwijały. Tomasz miał rację – trzy razy potem spostrzegłem się na czas i skorzystałem z darów losu. Może dodam, że Tomasz będąc człowiekiem zamożnym, był hojnym – jakże często niektórzy siebie nie szanują i skąpią. Dbał o swoich i o dalszą rodzinę, gdy tylko ktoś był w potrzebie. Szczególnie zaraz po wojnie, w Brukseli, utrzymywał w Belgii matkę steraną przejściami w czasie Powstania, w dużej mierze moją matkę i siostrę po obozie koncentracyjnym, potem za PRL-u wielu siostrzeńcom znalazł i zapewnił pracę w NRF. Był człowiekiem o niesłychanej dobroci, dawał gdzie widział potrzebę, gdzie dostrzegł, że ktoś się stara, ale mu nie sprzyja ta „szansa życiowa", o której mi mówił. Był skromnym, rzecz bardzo rzadka wśród biznesmenów, a tylko gdy usilnie prosić opowiadał o podróżach, lataniu, wygranych meczach. U Tomasza odczuwało się radość życia, wprost promieniował nią i udzielało się to jego rodzinie, wszystkim, którzy go znali. Toteż aż dla czterech z młodszego pokolenia naszej rodziny, rodzice wybrali imię Tomasz – by byli dzielni i podobni do niego. Takim był Tomasz Janta-Połczyński – takim zostanie w naszych sercach i w naszej pamięci. Wybrał sobie, wypracował życie nieprzeciętne i godne.

Wojciech Rostafiński